

Henryk  
Markiewicz

Amica  
Janion,  
amica  
Szczuka,  
sed...

Z zaciekawieniem i wzruszeniem czytałem książkę *Janion. Transe – traumy – transgresje. 1: Niedobre dziecię* (oj, nie ułatwiono tym tytułem życia bibliografom!) – wywiad Marii Janion udzielony Kazimierze Szczuce. Nie kryję, że z radością znalazłem w tej książce słowa: „łączy nas bardzo ważna, bliska przyjaźń”. Istotnie, przyjaźń ta trwa już 65 lat, mimo wzrastającej różnicy zainteresowań i sposobu uprawiania badań literackich. *Pretium affectionis*, jakie z tych i innych jeszcze powodów ma dla mnie ta książka, sprawia, że nie umiałbym z niej napisać obiektywnej recenzji. A książka to ważna – mieszczą się w niej nie tylko poruszające wyznania autobiograficzne, ale i kawał historii powojennej polonistyki literackiej. Szkoda, że autorki zanadto zaufały swej pamięci i nie sprawdziły niektórych faktów i sytuacji przedstawionych tu z pewnością (lub z wysokim prawdopodobieństwem) nieściśle. Zastanawiałem się, czy wytykać im te uchybienia. Zrobię to jednak właśnie ze względu na źródłową ważność tej książki. Uwagi swe umieszczam w kolejności występowania ich odniesień w tekście. Cudzysłowy oznaczają wypowiedzi Marii Janion. Korzystając ze spo-



sobności, dodałem też trochę osobistych wspomnień i dopowiedzeń.

**s. 49:** Ojciec Marii Żmigrodzkiej nie był lekarzem, lecz zawodowym wojskowym (majorem WP), a później, od r. 1933, adwokatem w Warszawie.

**s. 59:** Wspomina tu M.J. o tym, jak była przejęta odwiedzinami prof. Stefanii Skwarczyńskiej w mieszkaniu Tadeusza Drewnowskiego w Łodzi. Pamiętam te odwiedziny – było to przed Zjazdem Kół Polonistycznych w r. 1948. Obie Marie i Tadeusz kończyli wspólnie referat o poetach Skamandra; ja tam również nocałem. Skwarczyńska przyszła wtedy, żeby ostrzec autorów referatu przed jakimiś nieprzyjemnościami, które miały ich spotkać w czasie zjazdu. Ta opiekuńczość katolickiej uczoney wobec młodych marksistów zrobiła na nas duże wrażenie.

**s. 61:** „Zjazdy Kół Polonistycznych zawsze odbywały się w Krakowie”. Nie, w Krakowie

odbyły się tylko dwa pierwsze powojenne zjazdy, w r. 1946 i 1947, następne – kolejno w różnych miastach uniwersyteckich.

**s. 63:** W pierwszych latach powojennych „Służba Bezpieczeństwa interesowała się życiem studenckim”. Nie tylko się interesowała. Żmigrodzką wówczas w Łodzi aresztowano, wyciągnął ją po jakimś tygodniu Żółkiewski.

**s. 71:** „Mówiono [o Żółkiewskim], że był Żydem, ale nie przypominam sobie żadnej rozmowy z nim na ten temat”. Owszem, tak po wojnie mówiono, ale nie pojawiły się żadne informacje potwierdzające tę plotkę. Przeczy jej zresztą duża aktywność Żółkiewskiego w okupacyjnej Warszawie.

**s. 73:** „»Kuznica« w pewnym momencie zwała na nas, tych młodych, jakieś wulgaryzacje marksizmu. Ważyk to zrobił, Kott [...] przewodził tym sądom, nagonce”. Jedynym znanym mi przejawem tej nagonki był artykuł Ważyka *Kilka słów o metodzie*. Autor nie bez racji zarzucał tu młodym adeptom „metody socjologicznej” (jak pseudonimowano wówczas marksizm), że poprzestają na porównywaniu świata przedstawionego w utworach literackich z rzeczywistością społeczną i na ukazaniu wpływu tej rzeczywistości na literaturę. Nie uwzględniają natomiast klasowego ukierunkowania ideologicznego literatury, a z drugiej strony „swoistych cech wyobraźni literackiej”, spraw kompozycji i stosunku do tradycji. I nie było to w „przedodwilżowym nastroju”, przeciwnie, nastrój był już przedprzymrozkowy – artykuł ukazał się w „Kuznicy” we wrześniu roku 1948. O ile mnie pamięć nie myli, Kott ani słowem się publicznie w tej sprawie nie wypowiadał, a tym

## HENRYK MARKIEWICZ

bardziej Żółkiewski, który, jak widać, nie przejmował się zarzutami Ważyka, skoro w tymże roku zatrudnił Żmigrodzką, Janion i Drewnowskiego w powstającym wówczas IBL-u.

**s. 99:** „Dawid Hopensztand, Żółkiewski, Fryde, Kazimierz Budzyk z warszawskiego koła polonistów to byli ludzie blisko Manfreda Kridla”. Owszem, z czasem poloniści warszawscy nawiązali współpracę wydawniczą z wileńskimi kolegami, którym patronował Kridl, ale przywódcą warszawiaków był pominięty tu Franciszek Siedlecki. A Fryde działał w warszawskich kole polonistów tylko do roku 1935 i był zdecydowanym przeciwnikiem formalizmu, o czym świadczy jego miążdzący artykuł *Nauka o wierszu, czy kiepska krytyka* („Pion” 1937, nr 41). Właśnie w opozycji do grupy Siedleckiego utworzył własny zespół krytyczno-literacki, do którego należeli m.in. Krystyna Kuliczowska, Gustaw Herling-Grudziński, Zdzisław Libin-Libera, Stefan Lichański.

**s. 101:** Rozprawa Żółkiewskiego nie była poświęcona Kołu Wiedeńskiemu; tytuł jej brzmi *Charakter orzeczeń metodologicznych w naukach humanistycznych*. W *Sporze o Mickiewicza* nie wykladał on założeń metodologii marksistowskiej, lecz tylko starał się je zastosować.

**s. 107:** „Postępowa wiedza o literaturze reprezentowana przez Rosjan była jednocześnie dziwnie zaborcza, trudno powiedzieć, że czysta w swej postępowości”. Nie bardzo wiadomo, co M.J. przez tę postępową wiedzę o literaturze rozumie. Zapewne formalistów, Bachtina, tartuskich i moskiewskich semiotyków. Ale na czym miałyby polegać zaborczość na przykład książki *Goethe w literaturze ro-*

*syjskiej* Żyrmuńskiego, *Puszkina i Francja* Tomaszewskiego czy książki Bachtina o Rabelais’em?

**s. 104:** Według M.J. IBL miał być początkowo 1. instytucją interpretującą wielkie prądy w kulturze, 2. zajmującą się „wielkimi syntezami metodologicznymi”, 3. syntezami literatury poszczególnych epok. W związku z tym Żółkiewski rzekomo uważał monografie autorów za nienaukowe i na tym tle powstał poważny spór między nim i naszą trójką, tj. obu Maria mi i mną. W rzeczywistości było inaczej. Żółkiewski nigdy nie odmawiał wartości monografiom wielkich pisarzy (sam przecież napisał *quasi*-monografię o Mickiewiczu), nie spodziewał się od nas wielkich syntez kulturowych czy metodologicznych, aprobował też badania nad drugorzędną literaturą krajową, w nadziei, że znajdą się tam wybitne utwory, niedostrzeżone lub przemilczane przez dawniejszych badaczy. W IBL-u od początku prowadzone były prace stylistyczne i wersyfikacyjne, a także bibliograficzno-dokumentacyjne. Należy też pamiętać, że IBL w swych początkach to był nie tylko Żółkiewski, Budzyk, Wyka i młodzi marksiści, ale także Kott, Mayenowa, Kubacki, Mikulski, od których prac wymienionych przez M.J. nie można było oczekiwać.

Konflikt między Żółkiewskim a naszą trójką pojawił się dopiero w roku 1958, kiedy zaproponowałem podjęcie prac nad *Obrazem literatury polskiej XIX i XX wieku*, które by z jednej strony integrowały całe środowisko polonistyczne, z drugiej – przygotowywały materiał faktograficzny i interpretacyjny do przyszłej akademickiej syntezy dziejów literatury polskiej (Janion i Żmigrodzka projektowały

takie wydawnictwo już wcześniej, napisały nawet kilka haseł z myślą o nim, ale później z projektu tego zrezygnowały). Żółkiewski energicznie zwalczał moje propozycje, domagając się natychmiastowego przystąpienia do owej syntezy, a przy okazji atakując mnie za eklektyzm i wszystkoizm. Dochodziło wówczas między nami do ostrych spięć (podczas jednego z nich Żółkiewski, rzecz u niego wyjątkowa, napisał do mnie list z oburzeniem, jak ja śmiem w ten sposób krytykować członka Komitetu Centralnego PZPR). Obie Marie znalazły się w trudnej sytuacji – poczuwały się do lojalności i wobec mistrza, i wobec przyjaciela. Co więcej – projekt *Obrazu* im się podobał. Po długich wahaniach opowiedziały się po mojej stronie i pracę nad *Obrazem* zostały podjęte, w znacznym stopniu dzięki poparciu Wyki, który został redaktorem naczelnym tego wydawnictwa. Żółkiewskiemu zresztą po pewnym czasie przeszło, w końcu po śmierci Wyki w r. 1976 objął jego funkcję w *Obrazie*.

**s. 100:** Wbrew temu, co mówi Kazimiera Szczuka, nie napisałem niestety monografii Prusa; nie była nią przecież praca magisterska *Realizm krytyczny w twórczości Bolesława Prusa*.

**s. 114:** „Poeci krajowi zostali przez Panią wygrzebani z kompletnego niebytu bibliotecznego, by nie powiedzieć śmietnika” – powiada Szczuka. Wiele w tym przesady. Maria Janion rzeczywiście na nowo i świetnie odczytała ich twórczość, nie byli to jednak autorzy wówczas zapomniani, uczono o nich w przedwojennym gimnazjum, łatwo były dostępne komentowane wybory poezji Pola, Ujejskiego, Lenartowicza, Wasilewskiego w serii „Bi-

blioteka Narodowa”. O Berwińskim wydał w r. 1937 monografię Tymon Terlecki. Odkryciem M.J. była tylko młodzieńcza twórczość Lucjana Siemieńskiego. No i nie łudźmy się – mimo wysiłków M.J. i innych badaczy twórczość poetów krajowych osunęła się w zapomnienie. Doświadczył tego Jarosław Kaczyński, gdy w r. 2007 jego słuchacze, uczestnicy konwencji PiS-u, nie rozpoznali słynnego ongiś cytatu „Inni szatani byli tam czynni” z *Chorału* Kornela Ujejskiego.

M.J. wymienia tu przedwojenną rzecz Kridla jako jedyną większą systematyczną pracę poświęconą poetom krajowego romantyzmu. Zapewne ma na myśli nie jego podręcznik szkolny, lecz rozprawę *Poezja w latach 1795–1863*, stanowiącą część zbiorowych *Dziejów literatury pięknej w Polsce* (wyd. 2, 1936). Ale rozdział *Poezja w kraju w okresie popowstaniowym* liczy tu zaledwie osiemnaście stron.

**s. 119:** O Pigioniu czytamy, że „reprezentował tych starych, którzy się raczej niezbyt angażowali w ideowe sprawy, choć czasem zabierali głos, jakieś przemowy wygłaszali od czasu do czasu na dawnych zjazdach polonistów”. (Zaskakujące jest, że jako reprezentant starych wymieniony tu został z nazwiska obok Pigionia – Roman Brandstaetter, który historykiem literatury *sensu stricto* nigdy nie był!). Opinia ta wymaga korektur. Przede wszystkim przed r. 1949 odosobnione głosy tego rodzaju się pojawiały, np. słynny artykuł Borowego *Metoda publicystyczna Stefana Żółkiewskiego* („Tygodnik Powszechny” 1948, nr 44). W okresie 1949–1956 nie marksieści mieli usta zamknięte; po Październiku swoboda ich wypowiedzi polemicznych w sprawach ideowych też by-

ła ograniczona. Zresztą z zadowoleniem obserwowali, że prace marksistów uwalniały się od doktrynerskiej wulgaryzacji. Ale zapamiętałem np. ostre wystąpienia Feliksa Araszkiewicza i Marii Rzeuskiej z r. 1958, czy wcześniejszą, z r. 1955, ostrą polemikę Pigonia, właśnie z referatem Marii Janion *Tragizm Konrada Wallenroda*, wygłoszonym na zebraniu Komisji Historycznoliterackiej Oddziału PAN w Krakowie w r. 1955.

Smakowita jest anegdota o tym, jak to Stanisław Łempicki komentował na korytarzu jakieś marksistowskie wystąpienie Żółkiewskiego dobrotliwym „oj, figlarz, figlarz”. Ale czy anegdota to prawdziwa? Łempicki zmarł już w grudniu 1947, a przed tym terminem Żółkiewski nie wygłaszał w Krakowie żadnych referatów w gremiach, w których mógłby Łempicki uczestniczyć. Dziwi też sformułowanie: „Znaliśmy się z Wyką, był redaktorem naczelnym »Twórczości«”. Tylko tyle? Był przecież od r. 1952 przez blisko 20 lat dyrektorem IBL-u!

Skoro już o anegdotach mowa – przypominę, jak to warszawscy młodzi IBL-owcy, którym Wyka dał do przeczytania maszynopis swego podręcznika szkolnego literatury romantycznej, lekkomyślnie popstrzyli jego marginesy swoimi ironicznymi uwagami krytycznymi. Autor po zwrocie maszynopisu zapoznał się z nimi i był bardzo rozżalony (sam mi je pokazywał!).

Za jednego z sojuszników z dawnych lat IBL-owskich wymienia M.J. „ostrego bardzo” Romana Zimanda. Ja patrzyłem na niego inaczej – pamiętam, że powiedziałem kiedyś właśnie do obu Marii: „Tacy jak on nas wykończą”. Zimand pojawił

się w IBL-u zresztą dopiero w r. 1958 już jako rewizjonista.

**s. 142:** „Prowodyrem marcowego antysemityzmu na UW był Jan Zygmunt Jakubowski. Uważał, że z Żydami należy zrobić porządek, wszystkich wyrzucić i doprowadzić do tego, żeby nie brali udziału w naszym życiu umysłowym, bo tylko je zatruwają”. Ówczesnym antysemityzmem Jakubowskiego oburzona, ale i zdziwiona była jego koleżanka z lat przedwojennych, Stefania Skwarczyńska (opowiadała mi o tym również oburzony prof. Libera). Jakubowski był wówczas zdeklarowanym moczarowcem, ale czy sformułowania tu przytoczone nie są przejawem? Ostatecznie jednak żadnego Żyda z UW on nie wyrzucił. Jego antagonizm z IBL-u miał inne przesłanki – był on zwolennikiem historii literatury o zakroju popularyzatorskim, wolnej od metodologicznych nowinek, komplikacji i fachowego żargonu, skoncentrowanej na treściach wychowawczych i patriotycznych. Irytowało go też uprzywilejowanie IBL-u w stosunku do polonistyki uniwersyteckiej. (Nie jestem pewien, czy wszystko to ściśle zreferowałem, ale trudno mi odnaleźć jego ówczesne wypowiedzi, publikowane w prasie codziennej).

Byłoby z mojej strony przewinieniem wobec pamięci Jakubowskiego, gdybym pominął milczeniem jego stosunek do mnie. W latach 60. prowadził ze mną walkę podjazdową, oskarżając mnie o ideologiczny hiperkrytycyzm w stosunku do Żeromskiego, a na spotkaniach z nauczycielami wprowadzał podobno aluzje antysemickie. Niedługo jednak przed Marcem, po jakimś zebraniu naukowym, podszedł do mnie, powiedział kilka przychylnych słów



o moich pracach i zaznaczając, że czyni to wbrew swoim politycznym przyjaciołom, zaproponował zakończenie naszego konfliktu i manifestacyjnie się ze mną uściskał. Deklaracji tej nie naruszył przez cały okres marcowy i później.

**s. 149:** Ze zdziwieniem przeczytałem tu opinię, że w przeciwieństwie do seminarium gdańskiego gdzie indziej traktowano studentów jak niższy personel. „Czasami dawano im coś powiedzieć, ale nikt się nimi nie przejmował. Na zajęciach powszechnie uprawiano pozytywistyczne dudnienie [...]. Drukowanie tekstów studentów, ich wypowiedzi i głosów w dyskusji uznawano za obraźliwe i przerażające”. Zapewne *Kolokwia gdańskie* Marii Janion były czymś wyjątkowym, ale czy inne ówczesne seminaria – Ziomka, Błońskiego, Opackiego, Okopień-Sławińskiej (wymieniam tylko jedno nazwisko z każdego ośrodka) wypada traktować z taką wzgardliwą wyniosłością? (Proszę wierzyć, że nie przemawia tu przeze mnie urażona miłość własna. Nigdy ze swoich ćwiczeń i seminariów nie byłem zadowolony). Misiu, „to niegodne wielkiej uczzonej”, jak czasem Cię żartobliwie strofowała Maryna...

A artykuły pisane przez studentów polonistyki publikowały często i czasopisma

naukowe i tygodniki literacko-społeczne już w latach 40. XX w.

I jeszcze jeden drobiazg. Na s. 76 przypisano Asnykowi wierszyk:

Gdy odchylałam trumny wieko  
I ogłądałam nasze dzieje,  
Chce się płakać,  
Więc się śmieję.

Przekartkowałem całego Asnyka i tego wierszyka nie znalazłem. I znaleźć nie mogłem, bo pochodzi on z „żarciku poetyckiego” Włodzimierza Wysockiego *Nowe Dziady* z r. 1885.

Napisałem na wstępie, że nasza przyjaźń była bezkonfliktowa. Tu dodam: poza jednym incydentem. Bodaj w roku 1955 na konferencji naukowej o kryteriach postępowości zirytowany jakimiś antypozytywistycznymi wycieczkami Marii Janion, napadłem na nią w dyskusji. Była urażona, ale udało mi się jakoś ją przebłagać, ofiarowując rzadkość – krakowskie pirackie wydanie *Konrada Wallenroda* z r. 1828.

Obawiam się, że i po przeczytaniu tego tekstu Maria Janion i Kazimiera Szczuka będą urażone. Zastanawiam się, jak by tu je udobruchać...

**Henryk Markiewicz**